Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 27 (32). Warszawa, czwartek dnia 8 lipca 1937 r. Rok II.

CUIUS RELIGIO EIUS REGIO

Nie, w tytule nie ma pomyłki: sentencja średniowieczna głosząca, że religia władcy staje się religią poddanych (**cuius regio eius religio**) została tu rozmyślnie odwrócona dla zobrazowania innego sensu, mianowicie — czyja religia, tego władza (**cuius religio eius regio**).

Ale zacznijmy naprzód od innych wątków. Wiele różnic zapisze się we wnioskach politycznych człowieka, uznającego państwo za najwyższe dobro — w życiu doczesnym, ma się rozumieć, a człowieka, uznającego naród za takież dobro. Otóż dużo kłopotów sprawia czytanie polemik, starających się te różnice, przy nadarzających się okazjach, zacierać. Okazja taka wydarzyła się właśnie w związku z przykrym incydentem z podwójnym księciem (z urodzenia i z funkcji) Sapiehą. A kłopotów dlatego, że autorzy, starający się sprzeczność jakoś pogodzić, sami ani rozumieją ani wierzą w to, co piszą. Prawdziwa kwadratura koła w nowym wydaniu.

Między takimi różnicami jest i następująca: inny musi być stosunek do religii i kościoła polityka, stawiającego sobie za cel działalności dobro państwa, a inny — stawiającego sobie za cel dobro narodu.

Racja stanu państwa wymaga — i można to osiągnąć — suwerenności władzy państwowej. Władza państwowa jest jedyna i najwyższa. Jeden jest suweren, czy to będzie parlament, król, czy prezydent, zależnie od ustroju; jeden jest autorytet i jedno źródło władzy. Sytuacja jest prosta, bowiem walkę o osiągnięcie tego ideału prowadzi się tylko z siłami, leżącymi poza granicami państwa — z innymi państwami. Jest to walka o niezależność państwową: niezależność polityczną, gospodarczą, wojskową, kulturalną i jakąkolwiek inną. Słowem, gra idzie o rację stanu państwa.

Sytuacja zmienia się, gdy za najwyższe dobro i cel działalności politycznej stawiamy naród. Komplikuje się. Po władzę duszą człowieka sięga wiele rąk — i słusznie. Dusza ludzka jest miejscem, przez które przebiega wielka mnogość układów życiowych. Człowiek jest patriotą (państwo zahacza o duszę), jest wierzącym katolikiem (kościół tu panuje), kochającym ojcem (rodzina ma głos), Polakiem (narodowość zagarnia swój udział), i t. d.

Gdy walczymy o naród i mówimy o narodzie, musimy brać pod uwagę, przy wszystkich okolicznościach, duszę tego narodu. W tym miejscu mały nawias: oczywiście i państwowiec musi brać wielość zjawisk pod rozwagę, ale narodowiec musi je brać, jako skarb nieoceniony, prawdy bezwzględne, których naruszyć nie śmie; państwowiec zaś — dla dobra państwa — może zwalczać te elementy duszy narodowej, które zdaniem jego grożą państwu. To jest właśnie rola wychowawcza państwa i wielkich polityków państwowych. Tak wychowywał naród niemiecki Fryderyk, tak zmieniał duszę narodu Wielki Marszałek.

Polityk „narodowy" — że użyję tego terminu — nie będzie chciał zmieniać duszy narodu dla dobra państwa, bo państwo jest dla niego bezduszną formą, gdy naród żyjącą rzeczywistością. Jeśli zaś będzie chciał ją zmieniać, to tylko dla t. zw. dobra narodu.

Ale kto decyduje, jak zmieniać duszę narodu dla jego własnego dobra? Oczywiście nie tylko polityk, a nawet inaczej powiedzmy: polityk w najmniejszym stopniu. Są inne władze nad narodem, silniejsze i więcej do tego powołane niż polityk; jest ich dużo, lecz te wywody są przeznaczone jednej tylko z nich — kościołowi. Jakiż jest stosunek — w takim ujęciu — kościoła i polityki narodowej?

Wiara człowieka jest bezsprzecznie jedną z najpotężniejszych właściwości duszy. Każda wiara, ale wiara religijna przede wszystkim. Właśnie istotą duszy narodowej polskiej jest jej religijność, jej katolicyzm.

Przecież naród polski protestancki byłby innym narodem (jeśli bierzemy go jako zjawisko kulturalno-polityczne). Kościół katolicki, zgodnie ze swoimi założeniami, dąży do osiągnięcia władzy nad tymi czy owymi przejawami życia, w pierwszym jednak rzędzie do władzy nad duszą człowieka. Z tego punktu kościół nigdy nie ustępuje.

Jeśli więc polityk narodowy umieścił swą politykę w duszy narodu, spotka się w niej z polityką religii. Spotka się jako partner słabszy, ograniczony do zadań, zapewniających dobro doczesne. Ponieważ zaś dobro wieczne jest ważniejsze, wszędzie tam, gdzie religia wskaże palcem na konflikt dobra wiecznego z dobrem doczesnym, polityk narodowy musi ustąpić politykowi religijnemu.

Tak samo miałaby się rzecz z ewentualnymi konfliktami organizacji państwowej z organizacją kościelną. Na przykład w konflikcie ks. Sapiehy z Panem Prezydentem, o ile okazało by się, iż ten pierwszy działa w zgodzie z prawem kanonicznym, nic nie miało by do mówienia prawo państwowe.

Polityk narodowy musi się zgodzić, że w Polsce nie ma miejsca na jego suwerenność, że jest natomiast wypadek znany w prawie międzynarodowym i określany jako condominium: współistnienia dwóch suwerenności, dwóch władzy.

Inne potęgi maleją wobec tych dwóch — państwa i kościoła, możemy więc spokoj-

---

W poprzednim numerze

„ZACZYNU"

144 : 0 na niekorzyść państwa

Zasada naczelna

Film w państwie

„Gospodarka człowiekiem"

Zjednoczenie narodu niemieckiego

Nil novi sub sole et... in Polonia

Głosy i odgłosy

Palcem po mapie

TREŚĆ NUMERU: Cuius religio eius regio. — Gospodarka a państwo. — Frank za dwadzieścia groszy. — Zjednoczenie narodu niemieckiego. — „Państwa totalne". — Echa młodych. — Głosy i odgłosy. — Palcem po mapie.

nie orzec w istnieniu takiego zbiegu suwerenności i do tego stanu rzeczy przystosować się (o ile, ma się rozumieć, stoimy na stanowisku polityki narodowej).

A więc: polityka narodowa musi być polityką, uzgadnianą z polityką kościoła. O ile nie zechce tego zrobić, — co się może zdarzyć, bowiem „narodowiec" zdaje sobie konsekwentnie, aż do końca sprawę ze skutków stanowiska narodowego a nie państwowego, — zrobi kardynalny błąd i przegra, bowiem wystąpi przeciw aktualnej duszy narodu — stanie w sprzeczności ze swoją teorią.

Kiedyś, gdy przedmiotem władzy był monarcha lub książę, a w ogóle właściciel obszaru, gdy narody nie istniały, nie liczyły się w pociągnięciach politycznych — kościół stawiał na władców. Musiał zdobywać ich dusze i to wystarczało dla zdobycia państwa, bowiem — cuius regio eius religio. Taka była ówczesna rzeczywistość. Władca był wtedy — oczywiście w pewnym tylko sensie — suwerenny: decydował o swej religii a tym samym i o religii swego ludu. Kościół i religia nie wchodziły w jego kompetencje (był i wtedy uzależniony od kościoła, ale w innym sensie).

Gdy podmiotem polityki i władzy stały się narody, przyszedł czas renesansu dla kościoła. Zdobyć duszę narodu to znaczy zdobyć władzę nad państwem, bowiem jest suwerenem. Przyszedł czas dla religii uniezależnienia się od królów i książąt. Zdobycie przewagi w tej duszy każe nam odwrócić wspomnianą tu sentencję i powiedzieć: cuius religio eius regio — czyja religia tego władza. Oczywiście może być tak. Może lepiej będzie — powie człowiek religijny — gdy kościół będzie rządził państwem. Dobrze, ale trzeba, aby polityk, który do tego prowadzi, zdawał sobie sprawę z tego, co robi i aby nie mącił sobie i innym w głowie.

GOSPODARKA A PAŃSTWO

PIERWSZE STRZAŁY

Konieczności zewnętrzne, wynikające ze stałego politycznego napięcia w zamieszkiwanej przez nas części globu, zmuszają państwo polskie do iście rewolucyjnego dźwignięcia wzwyż całej cywilizacji zarówno duchowej, jak i materialnej.

O cywilizacji duchowej mówiliśmy wiele, szeroko pisząc o politycznym wychowaniu państwowym.

Rozszerzymy trochę nasze poglądy na sprawy materialne.

Publicystyka z natury swej nie może być miejscem odpowiednim dla snucia skończonych planistycznych koncepcji, a zwłaszcza w państwowych sprawach gospodarczych.

Piszemy: zwłaszcza, gdyż sprawy gospodarcze w skali państwowej winny być w naszej sytuacji geopolitycznej domeną tajnej pracy planistycznej, jak każda praca stykająca się blisko z zagadnieniami obrony państwa.

Poza tym zbyt poważnie traktujemy zagadnienia planowania w ogóle, a gospodarczego w szczególności, byśmy mieli zamiar pobudzić w tej materii do publicznej dyskusji, uważając, że może ona dać owoc wystarczająco dojrzały i skuteczny.

Zbyt cenimy powagę prac, które winny być dokonywane w specjalnych instytutach planistyczno-badawczych, byśmy nie mieli ograniczyć się w niniejszych rozważaniach do samej metody państwowego ujęcia zagadnień gospodarczych. Tym koniecznejszym jest takie ujęcie, że obecne nie wróży Polsce pomyślnego wybrnięcia z wewnętrznych i międzynarodowych trudności, nie wróży gospodarczej suwerenności w zakresie choćby najbardziej oczywistych konieczności bytu państwowego.

I tu zacząć musimy od walki z fikcjami gospodarczego myślenia a raczej gospodarczej bezmyślności, która dławi Polskę i spycha ją na ostatnie miejsce w hierarchii gospodarczej państw.

Na wstępie jednak musimy uzasadnić konieczność tajności planu gospodarczego, by z lekkim sercem przejść do omawiania li tylko metod myślenia.

Trzeba bowiem uprzytomnić sobie, że taki nawet kraj, gdzie cichy i wstydliwy nawet patriotyzm serca łączy się z głośnym patriotyzmem kiesy, jak Anglia, w której automatyczna dyscyplina przyczynia się nieraz do utrzymania poziomu cen mimo dewaluacji, — musi już przy konwersjach rent państwowych zamykać cały personel Banku Angielskiego w gmachu i wyłączać telefony podczas dokonywania prac nad konwersją, by panika walutowa nie opanowała przedwcześnie rynku walorów.

A cóż dopiero my, gdzie pierwsza wiadomość o śmierci Marszałka, wywołała popłoch nie tylko wśród służby domowej, mającej dość pokaźne wkłady w P. K. O. Cóż dopiero my, gdzie wprowadzenie ograniczeń dewizowych poprzedzone zostało dekonspiracją, co zauważył p. min. Kwiatkowski i chciał wyciągnąć z tego konsekwencje (ale ich nie wyciągnął).

Nadto Polska nie jest tylko siedzibą króla Cyganów, lecz również roztworzystym organizmem gospodarczym, po którym kluczy tu i ówdzie cygaństwo obcego wywiadu gospodarczego w klasycznej postaci kapitału zagranicznego i w innych mniej klasycznych, choć nie mniej groźnych postaciach.

Gdyśmy już zaznaczyli wady gospodarcze paniki własnej i wglądu obcego, które usprawiedliwiają w pełni nawet poza uwzględnieniem czynnika militarnego zasadę tajności państwowego planu gospodarczego, przejdźmy do naszej mikromanii, zaczynając również od zagranicznego kapitału.

Oto rachityczny kapitał krajowy używa bardzo często pomocy zagranicznych interwencyj kapitałowych, by im razem krzywda się nie działa, by państwo swą polityką gospodarczą nie wykraczało poza zaczarowane koło ich interesów. Omówiliśmy już te zagadnienia w artykule pt. „Kapitał zagraniczny" w N-rze 7 „Zaczynu".

Ten oto rachityczny kapitalik krajowy szantażuje państwo polskie gniewem zagranicznego kapitału. I naprawdę wytwarzają u nas psychozę takich nietykalnych potęg, jak kapitał zagraniczny i kler. Jakieś tabu.

Nic dziwnego. Natura nie cierpi próżni. System władzy kapitału zagranicznego można zastąpić tylko precyzyjną i nową koncepcją gospodarczą, jak system wychowania klerykalnego — tylko bardzo silną koncepcją państwowego wychowania.

I nie dlatego kapitał zagraniczny jest u nas silny, że jest faktycznie silny, lecz dlatego, że koncepcje gospodarcze państwa są słabe, że państwo uległo na odcinku gospodarczym przekonaniu o rzekomej omnipotencji kapitału zagranicznego, jak na odcinku wychowania — rzekomej omnipotencji kleru.

Przecież zdajmy sobie do końca sprawę, iż nieprawdopodobny, święty gniew demokracyj gospodarczych na państwa o planowanej państwowo gospodarce wynika z podziwu, jak mogą one stawiać czoło gospodarczym potęgom. A równolegle do tego — gniew Watykanu, jak mogą niektóre państwa tak intensywnie wychowywać bez kleru, oraz wściekłość Sowietów, jak mogą państwa t. zw. faszystowskie dać wszystkie socjalne zdobycze i zlikwidować kapitalizm bez pomocy socjalizmu.

Utarł się w dyskusjach gospodarczych niesłychanie niebezpieczny termin „gospodarka planowa", którego wymienienie przyprawia pewne grupy społeczne o apopleksję. A ci, którzy wyznają zasady tej polityki, stają się obiektywem obstrzału ze strony t. zw. „walki z komunizmem". Tak przynajmniej było przed paru laty.

Obecnie czteroletnie doświadczenie Niemiec i wieloletnie doświadczenia Italii, zakończone jakże świetnym a bezprzykładnym w dziejach wojen kolonialnych sukcesem, rehabilitują zmieszany z błotem termin „gospodarki planowej" i coraz to inne grupy społeczne używają w swych programach i zawołaniach tego terminu. Najgorzej, że poszczególne grupy społeczne w pojęcie to wkładają nie realizację konieczności państwowych, lecz rozwiązanie zagadnień dobrobytu społecznego.

Fikcją nad fikcjami jest wiara czy też przekonanie w automatyzm procesów gospodarczych, podczas gdy np. w Niemczech nawet planową działalność o znacznej ścisłości i karności ubezpiecza się Żydami i mnichami katolickimi, jako kozłami ofiarnymi ewentualnych niepowodzeń na odcinku dewizowym.

W Polsce ten chuchany automatyzm ubezpiecza się o ileż mniej atrakcyjnie:

1) rozweselaniem, czyli optymizmem urzędowym, gdy zamiast świadomej i celowej polityki wygłasza się zawiłe przemówienia w stylu lekarzy z komedii Molièra i woła się: „Nuże, nuże! do góry głowy, kryzys mija, więcej śmiałości! Psychika, mo-

cium panie, to najlepsza inwestycja! Precz z defetystami!"

2) Zrzucaniem niepowodzeń automatyzmu na etatyzm, interwencjonizm, brak prywatnej inicjatywy, wysokie taryfy kolejowe, kartele, ceny i sto innych powodów.

BIERNOŚĆ PAŃSTWA

Panują w Polsce powszechnie apaństwowe teorie bierności politycznej państwa w wychowaniu, czego klasycznym przykładem — że użyjemy pozornych krańcowości programowych — jest głośna zgoda w tej materii „Robotnika" z „Czasem" a milcząca „Czasu" z „Robotnikiem". Ta linia teoretyczna papierowej czyli publicystycznej demokracji jest dalszym przedłużeniem apaństwowej postawy społeczeństwa uciekającego przed odpowiedzialnością za ścisłe myślenie państwowe do nietykalnego sanktuarium: narodu, ludzkości, sprawiedliwości społecznej, humanitaryzmu, człowieka i t. p.

Jeśli chodzi o sprawy materialne, czyli zagadnienia gospodarcze, ta apaństwowość występuje w jeszcze bardziej ponurym świetle. Oto teorie bierności gospodarczej państwa, walka z aktywnością państwa czy to w charakterze bezpośredniego gospodarza, czy też interwenienta lub planisty i kontrolera, nurtują opinię publiczną, jako jedynie dominujące poglądy.

I vice versa: poglądy te stają się jakimś tabu, truizmami, aksjomatami dla państwowych polityków gospodarczych i ta fala bierności gospodarczej państwa wzbiera w czasie i w przestrzeni.

Na tle tego przypływu biernych teorii zadać sobie można pozornie dzikie pytanie, czy nie jest klęską dla Polski to chociażby mizerne ożywienie koniunktury gospodarczej, które podnosi do kwadratu psychozę państwowej bierności gospodarczej; czy to zdewastowanie umysłów polityków gospodarczych będzie wystarczająco zrównoważone realnymi skutkami ożywienia koniunktury?

Sfery gospodarcze, które myślą — w sprawach gospodarczych—falami dłuższymi niż państwowi politycy gospodarczy i napewno znacznie dłuższymi, niż t. zw. szary człowiek, już z góry przygotowały sobie kozła ofiarnego ewentualnych niepowodzeń renesansu polityki liberalnej w związku z ożywieniem koniunktury. Wołają przez wszystkie dostępne tuby propagandowe: „Chuchać i dmuchać na koniunkturę, nie zmarnować jej, gdyż inaczej umywamy ręce". Za lat 3—4 będą przypominały te argumenty!

Lecz to są sfery zarobkujące, zainteresowane. Gorzej, gdy przejmuje to państwowa myśl gospodarcza jako czystą monetę.

Znane są wszystkim skłonności dzieci do miniatur: robią metr z zapałki, komodę z pudelek od zapałek, litr z kieliszka.

Otóż w obliczu $^{1}/_{3}$ niepotrzebnej ludności w strukturze społecznej i olbrzymich gospodarczych braków w potrzebach państwowych stale cieszymy się polityką małych przyrostów, które wynoszą zaledwie promile (już nie procenty) koniecznych osiągnięć.

A nam się zdaje, że nasze gospodarstwo znajduje się w sytuacji tonącego, do którego zapóźno już wygłaszać z brzegu wykład o ratownictwie i mówić o tym, że życie jest piękne, lecz należy skoczyć do niego do wody, dopaść, oszołomić, gdy będzie przeszkadzał, chwycić za włosy i ciągnąć brutalnie na brzeg.

MAKSIMUM PRODUKCJI

Wiele się mówi o t. zw. koniunkturze ilościowej, czyli wybrnięciu z kryzysu drogą taniej produkcji masowej w myśl zasady degresji kosztów stałych każdej dodatkowej partii produkcji.

Otóż niewątpliwie tylko nadrzędny interes państwowy to pojęcie koniunktury ilościowej przenosi na płaszczyznę codziennej pracy nad normalną strukturą. Powiedzmy przykładowo. Na ryzyko obniżki cen w celu wyrównania zwiększeniem ilością tej obniżki nie skory jest pójść przemysłowiec, jeśli nie ma szans uzyskania większego dochodu, opłacającego wysiłki i ewentualne ryzyko prób.

Inaczej państwo.

Na przykład prywatni właściciele „Polskiego Radia" przed wykupem go przez rząd woleli mieć 400.000 abonentów po 3 zł. niż kusić się o 1.200.000 abonentów po złotówce, skoro już w pierwszym wypadku osiągali po 15% maksymalnej dywidendy, a mogli przez eksperyment utracić ją. Mądre państwo zawsze będzie dążyło do 1.200.000 abonentów po złotówce. Lecz ryzykuje i dla jego celów ryzyko to jest ze wszech miar konieczne.

Może i musi ryzykować, bo przedmiot tego ryzyka jest dla państwa ważny. A gdy się przeliczy, nie wolno o nim mówić, że to zły gospodarz, tak jak o prywatnej spółce.

A inny przykład ujemnej „koniunktury" ilościowej. Przypuśćmy, że jest prywatny kartel wódczany, który w pewnym okresie sprzedaje 35.000.000 litrów wódki rocznie po 2 zł. pokrywając wszystkie koszty, płacąc państwu akcyzę i uzyskując wystarczający zysk. Państwo mądre zlikwiduje i przejmie ten kartel i będzie usiłowało sprzedawać tylko 7.000.000 litrów po 10 zł. gwoli ochronie zdrowia publicznego przed alkoholizmem.

Musi „ryzykować".

Tylko w zasięgu myśli państwowej leży interes i tylko w orbicie planowości gospodarczej państwa możliwa jest koncentracja środków ku likwidacji strukturalnego bezrobocia — zagadnienia prawdziwie państwowego z serii zagadnień społecznych.

Dla właściciela prywatnego warsztatu produkcji jest rzeczą obojętną, czy ma zatrudnić 10.000 robotników, czy 20.000 ceteris paribus, to zn. przy tym samym zysku. Raczej nie jest obojętnym, gdyż woli zatrudnić 10.000 dla większego spokoju i porządku w zakładzie.

Państwo zawsze będzie dążyło do maximów, a prywatny przedsiębiorca — do równowagi zysku przy najniższym wysiłku i przy najwyższym zysku. Czy nazwiemy tę zasadę homo oeconomicus, czy inaczej, nie rozwiązuje to zagadnienia.

Jedna rzecz jest pewna. Jeżeli państwo chce maximów, musi albo przejąć produkcję na swe ryzyko (szaleńcza myśl!), albo stworzyć całkowitą koncepcję planistyczną, obejmującą wszystkie fazy i stadia gospodarczych procesów od surowca do śmietnika. „Chcesz koniunktury ilościowej, nie tłumacz na podstawie ekonomicznych Pitagorasów, że to dobre — twórz licznych konkurentów, lub zabieraj warsztat" — powie przemysłowiec.

Bez pułapu planu państwowego w stale niewiadomej atmosferze drobnych interwencyj nie może rozwijać się życie gospodarcze.

Interes państwowy czynności gospodarczej państwo samo musi określić i dać zawołanie. Najlepszy obywatel zawsze będzie w rozterce, co ma czynić, jak ten, który długo zastanawiał się po pijatyce, co lepiej dla ludzkości: stłuc butelkę w myśl hasła ożywienia życia gospodarczego, by zatrudnić huty szkła, czy zaoszczędzić butelkę w myśl haseł oszczędności. Otóż to nie są pijane dylematy, lecz codzienne dylematy milionów obywateli. Oni chcieliby wiedzieć, czego państwo od nich chce. A przede wszystkim producenci.

Bezplanowy interwencjonizm, niszcząc wolność gospodarowania, nie przejmuje jednak gospodarczej dyspozycji i decyzyj pozytywnych. Mieliśmy tego przykład. Walka o poziom cen. Interwencjonistom przyśniło się, że cena zależna jest od widzimisię producenta, jak gdyby zdawali się mówić do kapitalistów: „Bójcie się Boga, o taką drobnostkę walczycie i nie chcecie ustąpić, przecież my was nie ruszamy, gospodarujcie sobie, nam chodzi tylko o cenę, o cztery litery: „cenę". "

A przecież cena jest wszystkim, jest tą omegą gospodarowania, omegą, złożoną z kilkunastu czynników produkcji i wymiany: kosztów surowca, cła, robocizny, kosztów kredytu, taryf przewozowych, podatków, patentów, wreszcie amortyzacji, pewnego godziwego zysku, czy też utrzymania właściciela warsztatu. Oto co jest cena! Jakże ją zmienić, gdy napęczniała ona umowami a nawet paragrafami konstytucji.

I tu w analogicznych wypadkach ma rację Matuszewski, radząc albo wycofać się z interwencjonizmu, albo zmienić system gospodarczy. Nic trzeciego nie ma. Ma świętą rację, gdyż jednolitość układu decyduje.

PRACA A FUNKCJE

Socjalizm wyrył głębokie ślady na psychice i teoriach kapitalistów. Oto ich pojęcie o rentowności względnie opłacalności nie rozciąga się na wiele różnorakich funkcyj, różnych od t. zw. produkcyjnego zatrudnienia. Sami pobierają olbrzymie wynagrodzenia za funkcje organizacyjno-administracyjne, zaś urzędnika przy zielonym biurku nie uznają, jako twórcy. Nie uznają i możliwości systemu, w którym może przecież zostać twórcą.

Nie ulega wątpliwości, że olbrzymią dźwignią wszelkich gospodarczych cywilizacji ewolucyjnych czy rewolucyjnych jest zasada nasycania danego organizmu państwowego funkcjami. To zn., że nawet wydajność pracy, nawet sama możność większego zatrudnienia, jakość pracy, nowe przemysły, inwestycje, nie zależą od bezpośrednio przy maszynie stojącego robotnika lub rolnika przy pługu lecz od lekarza, psychotechnika, higienisty, bakteriologa, polityka, kalkulatora, ekonomisty, nauczyciela,

badacza naukowego, przyrodnika, agrotechnika, socjologa.

Ta zasada jakże dobrze została ujęta w znanym powiedzeniu, może zbyt prostackim w swym skrócie, że niemiecki nauczyciel wygrał wojnę franko-pruską. Front gospodarczy musi mieć olbrzymie zaplecze opracowane przez sztaby i obsługiwane przez służby funkcjonariuszy, a tych służb winno być tysiąc i jedna.

Jak na 35.000.000 ludności zbyt mało mamy funkcyj i zbyt małą przywiązujemy do nich wagę. Przecież trudno mówić o gospodarczym podniesieniu wsi, gdy prócz posterunkowego, nauczyciela i komornika nie ma tam innych funkcjonariuszów.

Często się oblicza, ilu rolnik żywi „darmozjadów" inteligentów, jednostek nieprodukcyjnych. Z biegiem czasu rola funkcyj odwraca się, przy pewnym zagęszczeniu ludności już zaczyna się mówić, ilu jeden chemik żywi włościan. Tak można rzec w Niemczech. A we Włoszech: dla ilu rodzin jeden inżynier melioracyjny osusza błot.

O ile w granicach pewnych oczywiście koniecznych funkcyj wszyscy rozumiemy je jako utysiąckrotnienie procesów produkcyjnych (np. wynalazczość techniczna), o tyle nie jest powszechnie zrozumiałą konieczność powstania olbrzymiej liczby funkcyj utysiąckratniających często pośrednimi drogami ogólną wydajność materialną i psychiczną danej cywilizacji.

Pomijając dzisiejszy rozpaczliwy stan naszych prac cywilizacyjnych w różnych urzędach państwowych, instytutach, wszechnicach, szkołach i innych ośrodkach koncentrujących państwowe funkcje,—wynikający z braku doktryny państwowej, planu państwowego z jego realizacyjnymi rozgałęzieniami, — uważamy, że nie tylko ten aparat obecny winien być podporządkowany ściśle procesom planotwórczym i realizacyjnym, lecz również znakomicie powiększony. A to dużo kosztuje. I obecny budżet oraz gospodarowanie na to nie starczy.

Zapewne, że w systemie korupcyjnym, każdy nowy funkcjonariusz państwowy, oznacza naogół jeszcze jedną korupcję. W systemie „urzędowania", a nie twórczości, każdy nowy urzędnik oznaczać może tylko jedno więcej biurko, pióro, ołówek i kałamarz. Lecz w wydajnym a sprecyzowanym aparacie państwowym działającym w myśl planu, twórczość jakże wielu funkcjonariuszów odzyskuje swe cechy utysiąckratniania potęgi cywilizacyjnej danego państwa. Nawet t. zw. jednostka wybitna zniszczona zostanie w układzie dzikim (np. Pasteur u ludożerców), podczas gdy działając w układzie twórczym i cywilizowanym, odgrywa rolę kolosalną nie sama przez się, lecz drogą sharmonizowania się funkcyjnego z układem twórczym.

Oto zasadnicze przesłanki znaczenia twórczości bezprodukcyjnej tej pogardzanej antytezy pracy, tej zohydzonej nadprodukcji inteligencji, intelektualistów, myślicieli, lekarzy ciała i duszy, socjo- i agrotechników, bakteriologów, przyrodników, ekonomistów etc.

I cóż — zostawić ich sobie? Można! Jakiż wynik? Najlepszym może i najbardziej namacalnym wynikiem będzie, że lekarz zrobi lewatywę myślicielowi lub postawi bańki ekonomiście.

I to wszystko. Lecz to również może odbyć się bez udziału państwa. Chodzi o ich udział funkcyjny w orbicie państwowego planu. Tego nie dokona żadna siła automatyzmu, musi to uczynić państwo. I to jest podwalina każdej aktywności ściśle gospodarczej.

Przejdźmy jednak do dalszych sprecyzowań. Brak u nas normalnego wchłaniania twórczości funkcyjnej przez organizm społeczny czyli ta groza dekulturyzacji zawisła nad nami, jak miecz Damoklesa.

Tylko państwo może wtłoczyć i narzucić te zespoły twórczości funkcyjnej na wszystkie szczeble hierarchii społecznej i państwowej.

I to jest nie mniej ważne zagadnienie gospodarcze, niż sprawa bezrobocia. I to jest zagadnienie nie filantropii, lecz posłannictwa cywilizacyjnego państwa. I to wielka pomoc w realizacji państwowych planów.

Planowość gospodarcza zatym, czyli dążenie państwa do stworzenia z gospodarki pewnej celowej całości, swego rodzaju trustu pionowego, załatwia nie tylko sprawy materialne państwa, lecz przynosi mu szerszy wgląd i możność działania na wszystkich polach cywilizacyjnego zrywu.

A i społeczne zagadnienia ta planowość i jedynie ona w stanie jest rozwiązać. Państwowa gospodarka człowiekiem i wszystkie atuty gospodarcze prawa wielkich liczb w pełni uchwytne są tylko w skali ogólnopaństwowej, nigdy zaś na tle grupowych, branżowych czy też klasowych uzgodnień i planików. (77) (D. c. n.)

FRANK ZA DWADZIEŚCIA GROSZY

Blum upadł. Stało się to dosyć niespodziewanie. Tyle razy przed jego gabinetem piętrzyły się groźniejsze, zdawało by się, przeszkody (że przypomnimy tutaj krwawe wypadki w Clichy, opóźnienie otwarcia Wystawy, niepowodzenie akcji interwencyjnej na terenie międzynarodowym), iż pierwsze oratorskie strzały w senacie francuskim, przyjmowano naogół z lekceważeniem.

Powód ich celności stał się jasnym dopiero w przemówieniach nowego premiera i nowego ministra skarbu. Istotnie rzecz cała nie jest skomplikowana. Deficyt, rosnący z dnia na dzień z szybkością postępu geometrycznego, wyczerpywanie się rezerw funduszu interwencyjnego, mającego utrzymywać franka na poziomie, ustalonym przez jesienną dewaluację, niemożność zaciągania nowych pożyczek na rynku wewnętrznym, wobec obawy, że spotka je niepowodzenie, wszystko to aż nadto wystarczało do upadku gabinetu. Trzeba było już tylko materialnej przyczyny, byle jakiej akcji, by ten upadek spowodować. Ową rolę wziął na siebie senat.

Najlepiej zresztą o powadze sytuacji świadczy postawa ustępującego premiera. Z łatwością mógł wywołać wielkie demonstracje przeciwko senatowi; bez trudu doprowadziłby do ostrej walki, z której mial wielkie szanse wyjścia zwycięsko; stała przecież wciąż za nim ogromna większość w izbie poselskiej.

Blum postąpił inaczej. Z wirtuozowstwem starego parlamentarnego gracza, przeprowadził swą dymisję w sposób tak mistrzowski, że zamiast roznamiętniać umysły, przyczyniła się ona raczej do ich uspokojenia.

Z torów polityki cała sprawa przeszła wyraźnie na tory finansowe. Znamy już z depesz program ministra Bonneta. Wiemy, że pójdzie utartym szlakiem ograniczania wydatków i zwiększania dochodów, wiemy, że za złotówkę możemy teraz dostać już nie cztery franki ale pięć. Możliwe jest także, a nawet prawdopodobne wobec nieokreślenia jej dolnej granicy, że waluta francuska będzie jeszcze traciła na wartości. Nie będziemy się finansami Francji martwili. Ma ona dość wielkie zasoby wewnętrzne, by poradzić sobie nawet w tak trudnej sytuacji.

P. Bonnet cieszy się zaufaniem nie tylko kilku finansistów, ale, co ważniejsze, zaufaniem ogromnych rzesz drobnych francuskich posiadaczy. Jeśli zdecydował dewaluację, pewnie była ona konieczna; jeśli przeprowadza nowe podatki, widocznie obejść się bez nich nie można. Zresztą, ponieważ pieniądz, rzecz umowna, jest kwestią zaufania, cóż może przeciętny obywatel zrobić mądrzejszego, jak ufać panu Bonnetowi. Tym bardziej, że umiał on wyzyskać wymowę pustego skarbca, zostawionego przez jego poprzednika.

Oczywiście, że wobec spraw tak poważnych, jak własna kieszeń, problemy skądinąd porywające i święte, kwestie socjalne, musiały ustąpić na plan drugi. Czterdziestogodzinny tydzień pracy natrafia na coraz to inne trudności i w coraz większej ilości dziedzin okazuje się niemożliwy do przeprowadzenia. W ostatnich dniach groźba strajku hotelarzy, mogącego zrujnować wszystkie a tak wielkie nadzieje, jakie związano z Wystawą, doprowadziła do nowego cofnięcia się doktryny.

Od Administracji

Przypominamy Sz. Prenumeratorom konieczność odnowienia prenumeraty na miesiąc lipiec i III kwartał b. r.

*

Komplety numerów „Zaczynu" od początku wydawnictwa t. j. od dn. 3 grudnia 1936 r. wysyłamy po wpłaceniu na nasze konto czekowe w P. K. O. Nr. 25.544 należności 1 zł. miesięcznie i 2 zł. 50 gr. trzymiesięcznie.

Komplet numerów za grudzień 1936 r. — czerwiec 1937 r. włącznie kosztuje 6 zł.

Przy wpłacaniu prosimy o podawanie na odwrotnej stronie blankietu P. K. O. tytułu wpłaty.

Dalecy jesteśmy od radości z tego tytułu. Przeciwnie, sądzimy że ten punkt programu P. Bluma zostanie z czasem zrealizowany. Pierwszy krok zrobiono z chwilą, gdy zaczęto określać czas trwania pracy. Dwanaście godzin dziennie, było także kiedyś nieosiągalnym marzeniem. Dzień roboczy trwał potym dziesięć godzin, osiem, aż teraz doszliśmy do zmniejszania ilości dni roboczych w tygodniu. Nieodparcie nasuwa się wyobraźni obraz człowieka przyszłości, śpieszącego do biura, lub fabryki na jedną krótką godzinkę i wypoczywającego po tym wysiłku przez pozostałe dni sześć. Wtedy ząbkujące obecnie we Francji Ministerstwo Zabaw i Spoczynku doczeka się niebywałego rozkwitu i zaćmi swych starych kolegów: Sprawy Wewnętrzne i Zagraniczne, Wojskowe, Skarbowe i Handlowe. Ale to, jak mawiał pewien historyk, jest muzyką dalekiej przyszłości.

Na zebraniu Komitetu Federacji Syndykatów Robotniczych pan Jouhaux zaproponował, by socjaliści wszystkich krajów walczyli o wprowadzenie u siebie owego francuskiego tygodnia. Większość delegatów, między nimi i delegat polski, zaoponowała. P. Jouhaux zagroził wobec tego, że Francja będzie musiała wprowadzić u siebie autarkię, to znaczy z zagranicy nie będzie sprowadzać ani towarów, ani robotników. Będzie żyła z własnych zasobów.

Jak widzimy, do ciekawych wniosków doszedł jeden z filarów Frontu Ludowego. Tłumaczy to wiele rzeczy; przede wszystkim przesilenia gabinetowe we Francji. Bo jeśli frank się załamał, to nie dlatego, że reformy Leona Bluma były złe. (Część z nich obowiązuje od dawna nawet we Włoszech faszystowskich). I nawet nie dlatego, że system gospodarczy Francji nie mógł się z nimi uporać. (Ze wszystkich statystyk wynika niezbicie, że bogactwo kraju z łatwością pozwoliło by obywatelom na 2 dni spoczynku w tygodniu). Ale dlatego, że żadne państwo nie może żyć w zupełnym odosobnieniu od innych. Że może się odgrodzić od gospodarstw sąsiednich tylko, jeśli jego wysiłek pracy jest większy od ich wysiłku, nigdy odwrotnie. Tak samo jak wielkie zbrojenia jednego państwa zmuszają inne państwa do zbrojeń, tak wysiłek pracy jednych zmusza wszystkich do pracy, we wszystkich dziedzinach.

I tak jest dobrze. Gdy Francja skraca swym robotnikom czas pracy, wszystkie państwa powoli będą musiały zrobić to samo. Niemcy budują drogi. I u nas się drogi buduje. Każda reforma, każdy wysiłek pociąga za sobą inną reformę, inny wysiłek. Ale, ponieważ zawsze ma przewagę czynnik pozytywny, więc raczej zwycięży, jako element atrakcyjny (oczywiście w perspektywie zorganizowanego świata), faszystowskie osuszanie błot pontyjskich, niż francuska dbałość o wygodę osobistą jednostki.

To też nikogo nie zmylą uroczyste zapewnienia nowego premiera, że reformy Leona Bluma nie ulegną zmniejszeniu. Francją, jak i całym światem, rządzą konieczności gospodarcze. Tym umknąć niepodobna, nie ustępując jednocześnie z rzędu państw przodujących. Podobne niebezpieczeństwo zresztą Francji nie grozi. Zawsze zwalczy je ona patriotyzmem. Dla niej wystarczy patriotyzm. (148).

ZJEDNOCZENIE NARODU NIEMIECKIEGO*)

(Dokończenie)

Z ostatnich posunięć na uwagę zasługuje rozwiązanie „Domowiny" (związek stowarzyszeń serbo - łużyckich w Budziszynie), czym uniemożliwiono prowadzenie pracy narodowej na Łużycach. Praca ta jest skoncentrowana w „Bund Deutscher Osten", wydającym czasopismo „Ostland", zionące ślepą nienawiścią do wszystkiego, co polskie.

Konkretne wyniki tej działalności narodowego socjalizmu będziemy mogli ocenić dopiero za kilka lat, to jest po odbyciu się następnego spisu ludności. Tymczasem stwierdzić można, iż, biorąc z naszego punktu widzenia, najbardziej zagrożony wynarodowieniem jest teren Mazowsza Pruskiego, a najodporniejsze tereny to Pogranicze (okolice Złotowa i Babimostu), Górne Łużyce (okolice Budziszyna w Saksonii) i tereny zamieszkałe przez ludność Fryzyjską.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o kościół katolicki. Tutaj nie idzie o wyeliminowanie czy zaasymilowanie kilkuset tysięcy ludzi, ale o kształtowanie się pojęć ludzkich. Naród niemiecki jest podzielony na dwa wyznania, widoków na zjednoczenie się w jednym wyznaniu nie ma. Można tylko dążyć do zmniejszenia różnic i do tego, aby wyznanie stało się czymś drugorzędnym, obojętnym. Stąd walka o świecką szkołę. Do tego też podłoża należy może sprowadzić fakt zalania Niemiec wydawnictwami zohydzającymi chrystianizm w ogóle (wydawnictwo Ludendorffa). Dalej kościół katolicki jest organizacją kierowaną z zewnątrz — z Rzymu — a jego nauka nie pokrywa się z kanonami narodowego socjalizmu. Rzecz prosta, że fakt ten jest solą w oku narodowego socjalizmu. Kampania antykatolicka musi być jednak prowadzona zręcznie, tak aby wierząca ludność katolicka nie obróciła się przeciw jej inicjatorom. Utrąca się więc wpływy duchowieństwa katolickiego, podważa jego zaufanie u mas. Środkiem jest tutaj wytaczanie i bardzo szerokie rozgłaszanie procesów przeciw duchownym o przestępstwa natury kryminalnej lub obyczajowej. Warto podkreślić, że ten ostatni motyw to jest zarzut występków seksualnych jest z dziwnym zamiłowaniem przez narodowych socjalistów w stosunku do przeciwników stale używany; aby się o tym przekonać, wystarczy przypomnieć sprawę Röhma, przejrzeć numery antyżydowskiego „Stürmera", i zestawić z ostatnim procesem przeciw klasztorom katolickim.

Kościół katolicki góruje nad przeciwnikiem doświadczeniem, no i jakością używanych metod. Jednak trzeba pamiętać, że wychowanie młodego pokolenia leży siłą faktu w rękach narodowych socjalistów, a używane przez nich metody, choć niezbyt czyste, są dostosowane do niemieckiej umysłowości. Te względy przemawiały zatym raczej za doraźnym przynajmniej powodzeniem akcji narodowo-socjalistycznej.

Również walką o przekonania jest walka przeciw komunizmowi. Podczas, gdy inne partie w Niemczech zniknęły bez śladu, oparta o Moskwę partia komunistyczna, choć bardzo słaba, wciąż jeszcze istnieje i walka z nią trwa nadal. Polega ona, poza akcją o charakterze ściśle policyjnym, na zapobieganiu ewentualnym wpływom propagandy komunistycznej przez odpowiednie urabianie opinii publicznej. W prasie, w wydawnictwach książkowych, w wystawach wędrownych, mowach publicznych maluje się w makabrycznych barwach rozkosze raju sowieckiego i przedstawia Rosję jako ofiarę żydowstwa. Stworzono specjalną instytucję „Antikomintern", mającą za zadanie paraliżowanie akcji Kominternu. Podkreślić należy, że narodowy socjalizm obszedł się ze swymi dawnymi przeciwnikami, t. j. byłymi członkami partii komunistycznej, wspaniałomyślnie. Zostali oni uznani (za wyjątkiem przywódców) za ofiary propagandy komunistycznej i ta ich przeszłość nie stanowi powodu do jakichkolwiek prześladowań. Ten krok, uwarunkowany zresztą liczbą byłych komunistów (cztery miliony głosów na Thälmana) pozwolił uniknąć wielu komplikacji i stanowi dziś atut narodowego socjalizmu w walce właśnie z komunizmem.

Akcja antykomunistyczna wykroczyła już poza granice Rzeszy i jest wymierzona przeciwko właściwej sprężynie działalności międzynarodowego komunizmu — Moskwie (łączą się z tym zresztą może nadzieje na całkiem konkretne zdobycze). Wpływem propagandy antysowieckiej usiłuje się objąć zagranicę, a jak dowiodły wypadki hiszpańskie, narodowy socjalizm nie waha się przejść od słów do czynów.

Jak długo jednak istnieć będzie zaplecze komunizmu — Moskwa, tak długo komunizm w Niemczech nie zostanie chyba doprowadzony do całkowitej likwidacji, chociaż widoków na rozwinięcie się i zdobycie jakichkolwiek wpływów w Niemczech nie ma.

Omówiliśmy najważniejsze momenty pracy narodowego socjalizmu nad zjednoczeniem narodu niemieckiego. Nie obejmują one całości zagadnienia — fragmenty tej działalności znajdziemy w najróżnorodniejszych dziedzinach, od utrzymania na stałym poziomie cen masła w czasie braku tego produktu aż do popularyzacji słowa rodak — „Volksgenosse" włącznie — pozwolą nam natomiast zorientować się w jej charakterze.

Bezwzględny i twardy sposób, w jaki narodowy socjalizm do swego celu dąży, naraził go na wiele trudności; znajduje się on dziś w walce ze wszystkimi niemal „uznanymi" potęgami międzynarodowymi, jak

(Dokończenie na str. 6-tej)

*) Patrz Nr. 26 „Zaczynu".

„PAŃSTWA TOTALNE"

Pod tym tytułem ukazała się broszura prof. Stanisława Kutrzeby *). Broszura ta, zdaje się, ma więcej znaków zapytania, niż przecinków i jest pełnym zbiorem — może przypadkowym — wszystkich pytań, które nasza publicystyka od lat stawia państwom totalnym.

W ogóle jest pełna relatywizmu, wewnętrznej rozterki autora, który zetknął się z nieznanym, niepoznawalnym zjawiskiem w świetle dotychczasowego zapasu teorii poznawczych, nad którymi panuje przemożny argument Ben Akiby „wszystko już było!" i greckie „panta rei" („wszystko płynie").

Nic też dziwnego, że Kutrzeba pragnie poznawać totalizm na płaszczyźnie analogii jego do historycznego już absolutyzmu. Lecz, rozwijając swe myśli, a raczej pytania, sam sobie przeczy, rezygnując często z tych analogii.

Nasza krytyka polityczna w stosunku do państw totalnych bardzo często operuje rozkładaniem aktywności tych państw na etapy. A więc mówi się: „zobaczymy, jak załamie się Mussolini na „bonifica integrale" (melioracje), wtedy można będzie coś powiedzieć", a po tym: „oto, gdy wygra w Abisynii, to dopiero uwierzę w jego siłę", albo „Hitler przewróci się o sprawę surowców i plan czteroletni".

Jednak w miarę żywotności i stałego utrwalania się systemów totalnych, politycy, nauczeni szeregiem rozczarowań w swych diagnozach i prognozach, wolą wybierać późniejsze terminy swych obecnych prognoz: „ostateczny sąd o totaliźmie wyda historia z chwilą śmierci dyktatorów".

Bardzo wygodny wybieg. Czyni go i Kutrzeba. Oto jego słowa:

„Ale z dyktatorem trudniej. On prowadzi rządy osobiście. Jego decyduje wola. On bierze pełną odpowiedzialność za rządy. Stać musi w pełnym świetle. Nie można go ukryć w mgłach dalaj-lamowskiej legendy. Ani schować za parawan odpowiedzialnych doradców. On musi się pokazywać, musi mówić, nie może być ukryty (chyba w Sowietach na Kremlu, ale to już Wschód). Czy Włochy, Niemcy — będą miały to szczęście, jakie miały Sowiety, gdzie po twórczym Leninie znalazł się silniejszy nawet od niego wolą — Stalin? A wśród najbliższych wodzowi trudno znaleźć wielką indywidualność, bo ci wodzowie zwykle koło siebie takich indywidualności nie znoszą".

„Czym dłużej żyć będzie dyktator, tym więcej szans, by system się utrwalił"... „Ale wreszcie przyjdzie ta chwila, gdy „wodza" braknie. To chwila przesilenia. Co wtedy?"

Tak może zapytać i ciocia Scholastyka z Akcji Katolickiej.

Co za nieporozumienie!

„A jeśli w tej elicie nastąpi rozbicie?"— zapytuje dalej Kutrzeba.

Te wszystkie „jeśli" przypominają pewną bajeczkę. Chłop przychodzi do domu, widzi: baba płacze. Pyta, co się stało. „Mam nie płakać"— odpowiada baba, — „gdybyśmy mieli syna Janka i jeśliby on siedział tu w kuchni na podłodze, i jeśliby bawił się przy piecu, toby ten kawał drzewa, co teraz spadł na podłogę, zabiłby go na śmierć". I dalej beczy. Chłop nie wytrzymał z babą i poszedł w świat.

Lecz oto dalej:

„Może zostanie jego (wodza) testament; toby na razie uspokoiło sytuację".

Otóż zasadnicze nieporozumienie. Trwałość ustrojów totalnych, nie przesądzając o trwaniu ich czystych form, zasadza się najmniej na personalizmie, aczkolwiek w tytule dziejów nowoczesnych państw totalnych figurują dyktatorzy. Trzeba przecież dostrzegać całość i jedność oraz skończoność cywilizacyjną państwa totalnego, by tak łatwo uzależniać jego dalsze dzieje od fizycznej śmierci dyktatora.

Przecież sam Kutrzeba mówi na pierwszych stronicach broszury o niespotykanej w ustrojach absolutystycznych intensywności wychowania i tej — jak to nazywa — „inscenizacji, która doprowadza do wytworzenia zapału, entuzjazmu ludności" — a która przejawia się w państwach totalnych. Jest ona przecież, jak każda zresztą intensywna działalność wychowawcza, chyba mocniejsza, niż asekuracja faszyzmu za pomocą... dynastii Wiktora Emanuela III, jak to chce widzieć Kutrzeba.

Nie ulega wątpliwości rzecz jeszcze jedna. Absolutyzmy prócz pozorów podobieństwa do totalizmów na płaszczyźnie „absolutum dominium", nigdy nie rozporządzały tak intensywnym i szerokim wglądem państwa w całość zagadnień, stycznych ze sprawami państwowymi. Można rzec, że absolutyzm w sprawach ściśle politycznych nigdy nie szedł w parze z tym, co nazywamy teraz totalizmem.

Ileż dziedzin życia, z których wyrasta potęga państwa, było poza zasięgiem nie tylko absolutnych suwerenów, ale i ich sztabów, jakże szeroki był pozapolityczny liberalizm przy absolutyzmie.

I to jeszcze skłania do traktowania totalizmów, jako silnych koncepcyj państwowych, o znaczeniu bardziej trwałym i dogłębnym, niż się wielu wydaje.

Mówi Kutrzeba wiele o światłach i cieniach totalizmów. A więc światła: to wielkie zrywy polityczne i wewnętrzne, o których się nie marzyło nawet, to ogromne podniesienie idei państwa, to powrót do trafnej i skutecznej polityki zagranicznej, bo „tajność w zakresie dyplomatycznych posunięć", no i ta regeneracja pierwiastka osobistego w rządzeniu.

Może trochę za mało świateł, jak na olbrzymie inwestycje cywilizacyjne państw dynamicznych.

Za to cienie są bardzo liczne.

Oto „myślenie w państwach totalnych jest nawet nie pożądane", „Dyktatura nie lubiła nigdy myśli i krytyki — i dziś nie lubi". „Ale nie tylko wolność myśli i słowa odbiera państwo totalne swym poddanym. Pozbawia ich ono jeszcze jednej zdobyczy, którą sobie wywalczyli przez wieki — praworządności".

Ten bagaż fikcyj o powszechnym myśleniu, powszechnej krytyce i praworządności można najlepiej zilustrować naszym cyklem „Kto i jak rządzi myślami milionów?".

Istotnie dyktatury totalne przecinają często procesy myślenia ale politycznego i to niektóre kierunki, lecz śmiemy twierdzić, że cywilizacja powszechna, którą osiągają, często starczy za powszechne myślenie. Chyba lepiej być niemyślącym robotnikiem, niż myślącym bezrobotnym, cichym czytelnikiem, niż głośnym analfabetą.

Co się tyczy t. zw. praworządności, to przecież nie społeczeństwo odczuwa jej brak, lecz ci, którzy walczyli lub walczą o władzę; i w przekroju ogólno-społecznym argument ten traci na wadze. A zresztą, o jak wielkie osiągnięcia państwowe chodzi, o jak wielkie inwestycje polityczne i moc cywilizacyjną walczą państwa totalne!

Nie pisalibyśmy o broszurze Kutrzeby, gdyby szczęśliwym trafem nie zawierała ona pewnego kompendium wątpliwości i pytań, stawianych u nas państwom totalnym, i gdyby pytaniami swymi nie usypiała naszego społeczeństwa, a przede wszystkim sfer myślących politycznie, w obliczu długotrwałego niebezpieczeństwa, jakie zgotowały państwa totalne państwom ościennym.

Nie wolno ich lekceważyć. Kto wie, czy nie należy od nich wielu rzeczy się uczyć. Ale nie po łebkach, nie słów i gestów!!

(177).

*) Stanisław Kutrzeba: „Państwa totalne" — „Światła-cienie-przyszłość", Kraków, 1937 r., str. 19, nakładem Gebethnera i Wolffa.

(Dokończenie ze str. 5-tej)

kościół katolicki, żydzi i komuna. Również trudno jest żądać chociażby od nas uznania za akcję łączenia z narodem niemieckim naszych rodaków w Niemczech. Być może, iż narodowy socjalizm uwikła się w jeszcze większe trudności. Trzeba jednak przyznać, że na swej dotychczasowej drodze osiągnął bardzo poważne i doniosłe wyniki. (141)



LUDZIE Z KLUBU PICKWICKA

Czy pamiętacie tę scenę z nieśmiertelnej książki Dickensa? Było tak. Mieszkańcy Eatanswillu, jak i wielu innych miejscowości, poczytywali siebie za niezmiernie ważnych w państwie, a każde indywiduum w uznaniu wagi przywiązanej do jego przykładu, czuło się obowiązanym do należenia duszą i ciałem do jednego z dwóch stronnictw, dzielących gród, to jest do błękitnych lub żółtych.

Otóż błękitni nie zaniedbywali żadnej sposobności sprzeciwienia się żółtym; tak, że gdy żółci i błękitni stawali oko w oko na jakimkolwiek publicznym zgromadzeniu w ratuszu, na rynku lub na targowicy... zaraz powstawały kłótnie i wzajemne łajania.

Zbyteczne jest dodawać, że w Eatanswillu wszystko stawało się kwestią stronnictw.. Gdy żółci doradzali pokryć dachem stodołę, błękitni zwoływali zgromadzenia publiczne, na których wywracali tę propozycję. Gdy błękitni proponowali zbudowanie studni przy głównej ulicy, żółci powstawali jak jeden mąż przeciwko takiemu wnioskowi. Były sklepy błękitne i sklepy żółte, oberże błękitne i oberże żółte, w samym kościele jedna strona była błękitna, druga żółta.

Każde z tych potężnych stronnictw, naturalnie powinno mieć swój organ i rzeczywiście dwa pisma wychodziły w mieście: „Gazeta Eatanswillska" i „Eatanswillska Niepodległość". Pierwsza popierała zasady błękitne, druga stała zdecydowanie na gruncie żółtym.

Znakomite to były gazety. Jaka wspaniała i dowcipna polityka!

„Gazeta" nasza nikczemna antagonistka". — „Niepodległość" — ten dziennik niesmaczny i godny pogardy"... „Gazeta" to pismo kłamliwe", — „Niepodległość" — skandaliczna i potworna".

Takiego to zajmującego rodzaju były wzajemne rekryminacje zapełniające kolumny każdego numeru, a które w mieszkańcach miejscowych wzbudzały najgorętsze uczucia zadowolenia lub oburzenia.

Gdyby szanowny pan Pickwick, badacz natury ludzkiej, przywędrował wygodnym dyliżansem do Polski, mógłby poczynić głębokie spostrzeżenia na temat niezwykłego podobieństwa, jakie zachodzi między mieszkańcami Eatanswillu a mieszkańcami Polski.

Bo jakże? Czy szanowny Samuel Slumkey z Plumkey Hallu, kandydat błękitnych i Horacjusz Firkin esq. z Firkin Loge pod Eatanswillem, który ustępując naleganiom przyjaciół pozwolił podać siebie za kandydata, popierającego interesy żółtych, nie przypominają zupełnie naszych rodaków może tylko innych barw używających dla wyznaczenia różnicy pomiędzy sobą i głębią idei wyznawanych przez siebie.

U nas istnieją biali i czerwoni. Każdy z białych jest najmocniej przekonany, że każdy z pośród czerwonych jest głupim, oczywiście, że żaden z pośród czerwonych nie pomyślał nawet nad tym, żeby był mądrym, jak biały. Są jeszcze inne ciekawe rzeczy.

Kiedyś powiedział Chamfort: Z masonerią to jest tak. Ksiądz walczy z masonami, biskup już milczy trochę, jeżeli chodzi o masonów, ale kardynał już sam jest masonem.

Szanowny pan Pickwick, obserwując naszych białych i czerwonych, mógłby powiedzieć: „Każdy z sympatyków białych walczy z Żydami, starszy z pośród białych już nieco stygnie w zapale, a najstarszy z pośród białych pochodzi zwykle... z Żydów. Podobnie u czerwonych, dużo między nimi jest właścicieli kamienic w Warszawie, iluż ma mieszkania urządzone luksusowo. Doły czerwonych są nastawione antykapitalistycznie".

Polska zaludniła się bohaterami z Klubu Pickwika. Pełno ich wszędzie. Chodzą tacy dostojni panowie po ulicach, dyskutują na zebraniach, chociaż okres dyliżansów, fraków ze srebrnymi guzikami i waz, pełnych gorącego ponczu, dawno minął.

Czy pamiętacie? Grupa gawronów, zgromadzonych przed drzwiami oberży, przypatrywała się zachrypłemu człowiekowi, stojącemu na balkonie i zdającemu się przemawiać na korzyść pana Samuela Slumkey z takim zapałem, że cała twarz mu poczerwieniała, ale siła i piękność jego argumentów cierpiała nieco na tym, że na rogu ulicy bezustannie huczał odgłos czterech ogromnych bębnów, ustawionych przez komitet pana Firkina.

Stosunek naszych białych i naszych czerwonych do państwa polskiego jest taki, że biali i czerwoni nie myślą o państwie, bo każdy biały jest zbyt zajęty myślą o nieznanym, a każdy czerwony musiał zapomnieć o państwie, żeby zawsze móc przypominać sobie, że jednak ten biały jest od niego głupszy.

Każdy z czerwonych bierze na swoje barki szlachetny obowiązek obrony cierpiącego człowieka, potępia bijatyki antysemickie, niejeden z nich dla dobra człowieka życie poświęcił, niemniej jednak należy zauważyć, że niejednego z ludzi kijem zdzielił i z okna z zebrania dyskusyjnego wyrzucił w obronie ludzkości.

Rzeczą jest powszechnie wiadomą, że najwięcej ludzi pobito na zebraniu Ligi Praw Człowieka i Obywatela.

Każdy z białych nie inaczej postępuje, co przypomina czasem rozumowanie uczenicy, która kochając się w atlecie, który w amerykańskiej walce przyjacielowi nogę wyłamał, mówiła zawsze do koleżanek: „A dobrze mu, poco tak walczył brutalnie".

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że przecież pali się gorącym płomieniem konieczność posiadania płaszczyzny myślowej, konieczność posiadania własnego, niepodległego bytu państwowego, bez czego cała współczesność polska stanie się niewymownym chaosem walk ludzi z Klubu Pickwicka pomalowanych na biało lub czerwono, zależnie od tego, w jakiej barwie komu z nich lepiej do twarzy.

GŁOSY I ODGŁOSY

NARESZCIE

Ostatnie artykuły gospodarcze w „Gazecie Polskiej" pióra b. w. i st. rz. są naprawdę godne specjalnego podkreślenia i należy życzyć, aby czynniki miarodajne w naszej polityce gospodarczej do końca je przemyśleli, wyciągając z nich odpowiednie konsekwencje.

Oto dla przykładu zajmiemy się artykułem p. t. „Pola inicjatyw".

Autor b. w. bardzo słusznie określa nasz etatyzm, jako „narzucony" i „niezamierzony", sytuację swego rodzaju przymusową, bezwładną. Oto, co pisze:

> „Przejęcie przez państwo licznych warsztatów produkcyjnych było u nas państwowej polityce gospodarczej n a r z u c o n e przez układ wypadków bynajmniej nie zamierzony. Nie było ono więc przejawem jakiejś konsekwentnej i świadomej polityki, lecz sposobem wybrnięcia z przymusowej sytuacji, w jakiej się nasi politycy gospodarczy znaleźli istotnie, względnie uważali, że się znaleźli. Dopuszczanie do sytuacji przymusowych i znajdywanie dorywczych wyjść z takich sytuacji — nie może być jednak uważane za dobrą politykę. Zaangażowanie gospodarczych sił państwa w dziedzinie niezwiązanej z jego celami gospodarczymi — w jednej z fabryk np. soku owocowego, czy fabryce tkanin — jest błędem, gdyż zmniejsza zasób sił potrzebnych do realizowania celów gospodarczych państwa".

Autor nie uważa za rzecz doniosłą tytuł własności przedsiębiorstwa, lecz dyspozycję, kierującą procesami produkcyjnymi. Zupełnie słusznie odróżnia sprawę t. zw. lojalności przedsiębiorcy prywatnego od sprawy możności „zastosowania się do potrzeb zbiorowości". Zbiorowości?... Zbyt ogólne i niesprecyzowane pojęcie, lecz nie czynimy z tego zarzutu autorowi, gdyż dalsze rozważania precyzuje poprawnie i ściśle:

> „Sądzimy, że ustalenie celów gospodarczych państw, ustalenie metod realizacji tych celów, wreszcie ustalenie dziedzin, w których tytuł własności przejąć powinno państwo — doprowadziło by do wniosków daleko odbiegających od tego, co jest dzisiejszym, polskim zwłaszcza, etatyzmem. (Tu ewentualni oponenci nasi wyjechać mogą z zupełnie dowolnie używanym terminem g o s p o d a r k i p l a n o w e j i zrobić sobie wdzięczne pole do opowieści o t. zw. m i a z m a t a c h w s c h o d u. Chodzi, oczywiście, o zupełnie co innego, o p l a n gospodarczy państwa, którego zwalczanie oznaczało by pochwałę bezplanowości. Im donioślejsze cele plan ten sobie stawia i im większym zakresem środków działania się posiłkuje — tym musi być, rzecz prosta, precyzyjniejszy. Im szerszą państwo podejmuje działalność gospodarczą — tym ściślej musi ją planować).

W planach państwa prowadzącego szeroką działalność gospodarczą niewątpliwie zawierałaby się potrzeba silnego i wnikliwego ingerowania w dyspozycje prywatnych przedsiębior-

ców, oraz potrzeba przejęcia niektórych dziedzin na własność państwa. Ale na innych odcinkach ujawniłaby się zbędność ingerencji, oraz zbędność przejmowania tytułu własności. Czy więc można by mówić o ograniczeniu pola dla inicjatywy prywatnej? Zakres i intensywność potrzeb ludzkich jest nieograniczona, przeto nieograniczonym jest pole dla pracy nad zaspakajaniem tych potrzeb. Realizowanie jakiejś inicjatywy gospodarczej nie jest zjawiskiem zamkniętym i wyodrębnionym: realizacja taka zmienia układ stosunków wokół siebie, stwarzając teren dla nowych, związanych z nią inicjatyw. Zaś dla przedsiębiorcy w pełni na tę nazwę zasługującego bodaj najważniejszym jest wyraźne ustalenie co, gdzie i jak może on robić, bowiem w kalkulację wszystko da się wprowadzić, oprócz niewiadomej. Nawet bardzo szeroko określony zakres działalności gospodarczej państwa okaże się zapewne dogodniejszym dla inicjatywy prywatnej, niż zakres praktycznie skromny, ale nie określony".

My, jako państwowcy, cieszymy się z tych rozważań, jako widomego przejawu wzbierania w Polsce państwowego ruchu umysłowego. Tym bardziej cieszymy się, że panowie st. rz. i b. w. mają odwagę zmiany poglądów i odwagę tworzenia (55).

RADYKAŁOWIE

Tygodnik Vendémiaire, organ radykałów, drukuje artykuł swego dyrektora politycznego p. Buré o zadaniach nowego premiera radykała P. Chautemps i o konieczności współpracy z nim socjalistów. Przyczyn niepowodzenia działalności p. Bluma doszukuje się w fakcie, że ten dbał o dobro tylko jednej partii.

„Nawet najgorętsi zwolennicy Frontu Ludowego nie kryją przed sobą niebezpieczeństwa, na jakie naraża ustrój i kraj klasa robotnicza, traktowana jak psute dziecko, klasa robotnicza, która bezkarnie pomija najbardziej oczywiste konieczności gospodarstwa narodowego. Że dzień roboczy został skrócony i że jednocześnie wydajność pracy robotniczej spadła, świadczy to w sposób niepokojący o nieudolności moralnej i technicznej proletariatu, który pretenduje jednakowoż do rządzenia światem".

„Leon Blum rządził dla jednej klasy, tylko dla jednej klasy, i jego porażka była nieunikniona". P. Chautemps ma zamiar brać pod uwagę interes całego państwa. Jednakże nie uzyskał on pełnej swobody działania. P. Blum ma ciągle za sobą olbrzymią większość w izbie poselskiej. Z tym nowy premier musi się liczyć. „Tak jak my, tak jak wszyscy politycy dobrze poinformowani i rozumni, sądził, że narzuca się sam przez się gabinet Ocalenia Publicznego, złożony bez różnicy partii z najlepszych głów parlamentu.

„Na to nie mógł się zgodzić Leon Blum, sam zależny od własnej partii". Leon Blum jest bezwzględny, musiał takim być, by zachować autorytet w swej partii. Nie było mu łatwo nakłonić bojowców socjalistycznych do udziału w rządzie o kierunku radykalnym. „Blum do władzy! Blum do władzy!". Taki krzyk wydobywał się wszystkich piersi socjalistycznych nazajutrz po jego dymisji. „Zgodzili się wreszcie, ale nie bez zastrzeżeń. Oto co mówią w swej deklaracji:

„Gdyby próba rządu Frontu Ludowego zawiodła nawet z lojalną współpracą socjalistyczną... partia socjalistyczna nie zgodziłaby się na żadne wyślizgnięcie po za układ Frontu Ludowego i zażądałaby od nowego kierownictwa, by bronić woli wyrażonej w głosowaniu powszechnym".

Współpraca nie będzie łatwa. Nowy minister finansów p. Bonnet nigdy się bardzo nie zgadzał ze swym poprzednikiem, p. Vincent Auriolem. „Ale niedola czasów obecnych może zbliżyć nawet tych, którzy są najbardziej oddaleni od siebie! A gdyby chodziło o politykę, wszystko dałoby się wreszcie ułożyć w nieokreśloności, ale chodzi o finanse i tu sztuczne rozwiązania są niemożliwe". P. Bonnet jest zdecydowany na prowadzenie własnej i nie bojaźliwej polityki walutowej. Czy w tym wysiłku zawsze znajdzie za sobą poparcie socjalistów?

„Francja jest na rozdrożu: jeśli socjaliści nie zrozumieją, że powinni wzmocnić rewolucję dokonaną przez ich wodza, jako szefa rządu, jeśli zechcą dalej tę rewolucję prowadzić, gdy już w sposób oczywisty przekroczyła ona granice możliwości, głos zabierze ulica, ku wielkiej satysfakcji Hitlera i Mussoliniego, którzy czekają na granicach na chwilę słabości Francji. Jeśli jest taka chwila, gdy walka klas powinna się usunąć wobec solidarności klas, to wtedy właśnie, gdy ojczyzna jest zagrożona".

Nie są to tylko poglądy partii radykałów, która chce uzyskać poparcie dla swego członka na stanowisku premiera. P. Henri de Kerillis, dyrektor polityczny prawicowej „Epoque" woła: „Nacjonaliści, moi bracia, czyście ślepi? Czyście głusi? O czym myślicie? Co robicie?... Wzięci w obcęgi germańsko-włoskie, od Renu do morza Śródziemnego, jeśli już nie na Atlantyku, jesteśmy na łasce straszliwego szantażu, albo i więcej... Dawni kombatanci nic nie mówią. Partie nacjonalistyczne milczą. Tak samo prasa nacjonalistyczna. A nawet chce pewne fakty lekceważyć". Jak zwykle, w zacietrzewieniu partyjnym zapomina się o interesie całości, dla zadośćuczynienia małym partyjnym nienawiściom.

PALCEM PO MAPIE

Tydzień ubiegły w polityce światowej minął pod znakiem pewnego, dość zresztą chwiejnego odprężenia na obu najbardziej zapalnych dziś punktach świata, a mianowicie na Dalekim Wschodzie i w Hiszpanii.

Konflikt o wyspy amurskie narazie rozszedł się po kościach i z ewentualnego casus belli — stał się polityczno-wojskowym rekonesansem, podczas którego obie strony mogły się zorientować, jak dalece są gotowe do pierwszego fragmentu przyszłej „wielkiej wojny", a mianowicie do sforsowania przeprawy przez graniczny Amur. Jak narazie klucz tej przeprawy pozostał w ręku strony japońsko-mandżurskiej, mimo, iż Sowiety okazały w danym wypadku zaczepną inicjatywę.

Następny z kolei incydent w postaci przekroczenia granicy mandżurskiej przez oddział sowiecki w sile 150 żołnierzy z trzema działami zaliczyć należy do codziennych niemal wydarzeń w tamtejszej okolicy świata, który większych następstw za sobą nie pociągnie.

Wewnątrz Sowietów trwa nadal krwawa „czystka" w atmosferze absolutnej bierności bezpartyjnych rzesz. Ilość rozstrzelanych na Dalekim Wschodzie „trockistowsko-japońskich szpiegów i dywersantów" powiększyła się znów o 21 ofiar „kolegium wojskowego najwyższego sądu ZSRR", które zgładziło w ciągu ostatnich sześciu tygodni zgórą 150 wyższych funkcjonariuszów sowieckich na obszarze armii marsz. Bluchera.

Wnosząc z komunikatów oficjalnych, ilość „wrogów ludu" w kraju naszego wschodniego sąsiada bije wszelkie rekordy, a już stanowczo przekracza dopuszczalny odsetek w aparacie monopartyjno-państwowym.

Największy stosunkowo porządek panował w ub. tygodniu w Europie środkowej, znajdującej się pod niewątpliwie potężnym wrażeniem zacieśnienia sojuszu polsko-rumuńskiego. Zgórą 50-milionowa potęga tego sojuszu dopiero obecnie zaczyna trafiać do europejskiej świadomości. Jest to bardzo wielka siła, zarówno materialna, jak moralna, pełniąca w dodatku swą historyczną służbę europejskiego „korpusu ochrony pogranicza" wobec wszelkiego kolejnego wschodniego barbarzyństwa.

Zacieśnienie współpracy „strażników" — północnego i południowego — nastąpiło w najwłaściwszym momencie. Wcale nie jest wykluczone, że zbrojna demonstracja, którą Sowiety podjęły ostatnio nad Amurem — mogłaby nastąpić na ich zachodniej granicy, gdyby tak polityką rumuńską po dziś dzień kierował p. Titulescu.

Na europejskim „dalekim Zachodzie" — to znaczy w Hiszpanii działania wojenne po zdobyciu Bilbao nieco straciły na intensywności, natomiast wielkomocarstwowe rozgrywki dokoła wojny domowej na półwyspie Pirenejskim toczą się ze zdwojoną energią. Komitet londyński zaczyna stosować system genewskiego kunktatorstwa — system coprawda bardzo kiepski, lecz w wytworzonej sytuacji bodajże jedyny.

Kompromis w sprawie kontroli granic hiszpańskich zaczyna się wszakże powoli zarysowywać. Przypuszczalnie skończy się na powierzeniu kontroli flotom państw nie zainteresowanych w konflikcie hiszpańskim, co może skuteczność kontroli conajwyżej wzmocnić.

Podjąć się tego rodzaju propozycji ma belgijski premier Van Zeeland, znany „mistrz kompromisu", który powrócił do Europy, zbrojny w coprawda dość nieobowiązujące obiecanki Wuja Sama, że ewentualnie gotów byłby udzielić materialnego wsparcia skłóconym europejskim siostrzeńcom, pod warunkiem że się będą zachowywali skromnie i przyzwoicie w dziedzinie militarno-politycznej.

Na marginesie rozgrywek dokoła - hiszpańskich zaznaczyć wypada iż słynna „oś Berlin — Rzym" staje się czymś w rodzaju „curva pericolosa", że użyjemy stylu napisów przydrożnych na wspaniałych włoskich autostradach.

Jeśli chodzi o Hiszpanię, to Berlin, dzięki owej „osi" utracił narazie swobodę ruchów, podczas gdy Anglicy eksploatują na terytorium, zajętym przez wojska gen. Franco, nie tylko kopalnie rtęci i miedzi w Rio Tinto, ale nawet całkiem świeżutko zdobyty obszar górniczo-przemysłowy w Bilbao.

Dlatego to Berlin w razie konkretnej propozycji kompromisowej w sprawie kontroli będzie o wiele bardziej pojednawczo usposobiony od swego rzymskiego partnera.

Wymowną i wręcz symboliczną ilustracją wydarzeń ubiegłego tygodnia w polityce światowej był pożar będącego w budowie, t. zw. „pawilonu pokoju" na wystawie paryskiej, który wszakże szybko ugaszono. Rzecz inna, że uroczystą inauguracje owego „pawilonu pokoju" z udziałem szeregu zawodowych pacyfistów wypadło na czas jakiś odłożyć... (66).

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10